Paulina
KUZAWIŃSKA

DAMA Z WOALKĄ

Są domy, w których mieszkają duchy przeszłości. Niektórych drzwi lepiej nie otwierać…

LIRA
WYDAWNICTWO

Dama z woalką

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2020
ISBN: 978-83-66503-73-1

Paulina
KUZAWIŃSKA

DAMA Z WOALKĄ

LIRA
WYDAWNICTWO

Prolog

Mówi się, że w chwili śmierci całe życie przelatuje nam przed oczami. Oglądamy je niczym ciąg ruchomych obrazów, ożywionych za pomocą kinematografu. Chwile liczne jak ziarenka piasku przesypują się przez nas niczym przez gwałtownie odwróconą klepsydrę. Tak przynajmniej, o ile mi wiadomo, twierdzą ci, którzy otarli się o kres.

Mnie całe życie przebiegło przed oczami w chwili, kiedy po wystrzale jego ciało głucho uderzyło o ziemię. Wówczas chyba tylko szóstym zmysłem zrozumiałam, że w pewien niewytłumaczalny sposób przez te wszystkie lata on i ja byliśmy ze sobą ściśle połączeni. Kiedy mój przyjaciel z dzieciństwa upadał, wiążąca nas nić pociągnęła mnie za sobą w mrok gęstszy niż ten, który panował kiedyś w nadmorskiej jaskini…

Wtedy wszystko sobie przypomniałam. Chwile, z których istnienia nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak żywe przetoczyły się przez mój umysł i moje serce.

Potem wszystko zasnuł wieczny mrok.

1. Sam na wrzosowisku

Istnieją miejsca, które przechowują przeszłość — miejsca, które posiadają ukryty wymiar, niczym matrioszki, schowane jedna wewnątrz drugiej. Nigdy nie wiesz, kiedy szkatułka się otworzy, żeby odsłonić skrywaną głęboko tajemnicę. Nigdy nie wiesz, kiedy miejsce przesiąknięte na wskroś przeszłością przeniesie cię do niej niczym niewidzialna brama. W takich momentach trzeba bardzo uważać, ponieważ, kiedy to się stanie, można zabłądzić — i zagubić w przeszłości własną przyszłość…

— Ta mgła wokół jest niesamowita. Mam wrażenie, że dotarliśmy na koniec świata. Jak okiem sięgnąć wrzosowiska… — mruknął Jonathan, spoglądając za okno powozu.

Wypowiedział te słowa z uśmiechem, na poły żartobliwie, jednak wiedziałam, że coś się za nimi kryło.

Czyż nie jest tak, że kiedy kogoś kochamy, poniekąd zaczynamy patrzeć na świat jego oczami? W tamtej chwili spoglądałam na otaczający nas krajobraz oczyma Jonathana — i chyba po raz pierwszy w życiu świat wokół wydał mi się równie nieprzyjazny, równie surowy i przytłaczająco pusty, niczym bezludna powierzchnia odległego Księżyca. Grudniowy wiatr od morza pokrył obumarłe wrzosowisko warstwą szronu, zamienił zagajniki drzew w kłębowiska posępnych badyli. Lodowata mgła przypominała białe tumany śniegu. Chociaż ów jeszcze nie sypał, to sine chmury wiszące nad odległym horyzontem zapowiadały rychłą zmianę stanu rzeczy. Nasz powóz zmierzający w kierunku Wzgórza Mgieł zdawał się jedynym poruszającym się punktem w jednostajnej, bezkresnej przestrzeni ze snu.

Pomyślałam, że owo przygnębiające wrażenie musi wynikać z kontrastu, jaki tworzyła zima na bezludnych wrzosowiskach w porównaniu do bożonarodzeniowych przygotowań w Londynie.

Poczułam kiełkujące w sercu ziarenko wątpliwości.

Czy organizowanie Bożego Narodzenia w posiadłości na Wzgórzu Mgieł aby na pewno było dobrym pomysłem? Jeszcze kilka dni temu nie żywiłam co do tego wątpliwości. Sądziłam, że jeśli święta odbędą się właśnie tutaj, to w końcu uda mi się odczarować to miejsce. Pragnęłam przywrócić blask domowi, który wciąż kochałam, chociaż cień popełnionej w nim przed

dwoma laty zbrodni wisiał nad nim niczym mroczne widmo. Zła sława, którą przed dwoma laty zyskała posiadłość górująca nad wrzosowiskami, szerzyła się nadal. Prawdę o śmierci mej ukochanej ciotki Hortense spowijano w woal powtarzanej szeptem legendy. Im więcej o tym myślałam, tym więcej dopadało mnie wątpliwości. I nie dotyczyły one jedynie nadchodzących świąt Bożego Narodzenia…

— Olśnisz wszystkich, Madeline. Tak jak olśniłaś mnie. — Szept Jonathana, który nachylił się do płatka mego ucha, przeszył moje ciało rozkosznym ciepłem. — To będzie najpiękniejsze Boże Narodzenie, bo spędzimy je razem. — Ujął moją dłoń i delikatnie ją uścisnął. — Nadal nie mogę uwierzyć, że się zgodziłaś… Oby tylko twój ojciec…

— Cii… — Uśmiechnęłam się i położyłam opuszkę palca na ustach. Spojrzałam mu w oczy. — Zgodziłam się. Mój ojciec również się zgodzi. Jak wiesz, ułożył sobie własne życie. Moja macocha i jej syn są obecnie jego całym światem. Jestem pewna, że odetchnie z ulgą, kiedy się dowie, że jego niesforna córka się zaręczyła.

Zaręczyłaś się! — powtórzyłam do siebie w myślach, wpatrując się jak urzeczona w Jonathana. W jego oczach w kolorze ciemnej morskiej wody tańczyły iskierki. Ilekroć w nie spoglądałam, czułam przyspieszone bicie serca. W głębi duszy wciąż jeszcze nie mogłam uwierzyć, że szczęście, które mnie spotkało, naprawdę jest

przeznaczone dla mnie, a nie dla jakiejś innej dziewczyny. Dla dziewczyny, która w pełni na nie zasługuje, która nigdy nie została uwikłana w towarzyski skandal, kiedy porzucił ją poprzedni narzeczony…

Poprzedni narzeczony… Tak, zaręczyny z Jonathanem sprawiły, że chwilami znów rozmyślałam o Edmundzie Desmondzie. Wzdrygałam się na jego wspomnienie. Myślałam o tym, jak olbrzymi błąd bym popełniła, gdybym była za niego wyszła. W pewien sposób jego zdrada okazała się dla mnie wyzwoleniem. Gdyby nie tamto opłakiwane przeze mnie niegdyś rozstanie, obecnie nie miałabym prawa marzyć o przyszłości u boku Jonathana.

Czemu więc odczuwałam niepokój, jak gdyby szczęście, które mnie znalazło, lada chwila miało mi się wymknąć — niczym drobny ptak, który na moment przysiadł w zagłębieniu mojej dłoni?

To wina minionych przeżyć, dawnych traum, które przywołują stare lęki — odpowiedziałam samej sobie w myślach, powtarzając słowa zasłyszane w dzieciństwie od wezwanego przez ojca alienisty — człowieka, który hipnozą próbował uwolnić mnie od nawracających sennych koszmarów. *Czasem trzeba powrócić do przeszłości, gdyż to w niej znajduje się źródło choroby…*

Nagle powóz gwałtownie wyhamował. Znalazłam się niespodziewanie w ramionach siedzącego naprzeciw mnie Jonathana.

— Wszystko w porządku? — wciąż obejmował mą kibić. Serce waliło mi jak szalone. Poczułam na policzku ciepło jego oddechu. Nasze usta znalazły się tak blisko siebie.

— Tak — szepnęłam z uśmiechem, poprawiając lekko przekrzywiony olbrzymi podróżny kapelusz ozdobiony bukiecikiem sztucznych kwiatów. Wygładziłam suknię i ponownie usadowiłam się na siedzisku, z którego chwilę wcześniej wyrwało mnie szarpnięcie pojazdu i ostre skrzypnięcie osi. Na zewnątrz dało się słyszeć niespokojne parskanie koni.

Nadal staliśmy gdzieś pośrodku wrzosowiska.

— Zapytam woźnicy, co się stało. Zaczekaj tutaj. — Jonathan wyszedł z zatrzymanego w miejscu powozu. Zniknął mi z pola widzenia. Miałam wrażenie, że pochłonęła go gęstniejąca mgła. Wyczekująco wpatrywałam się w okno. Nagle tuż za szybą pojawiła się obca twarz, a z moich ust wyrwał się zduszony jęk przestrachu.

Sekundę później zjawił się Jonathan. Obcy pierzchnął niczym gęsty obłok mgły.

— Jakiś mężczyzna bez uprzedzenia wszedł na drogę. Twój woźnica mówi, że mało brakło, a znalazłby się pod kopytami naszych koni.

Nadal czułam, jak prędko wali mi serce. Nerwowo zaciskałam dłonie.

— Czy z tym mężczyzną aby wszystko w porządku? Może potrzebuje naszej pomocy…

Lekkie szarpnięcie oznajmiło, że powóz znowu ruszył. Turkotanie kół i stukot końskich kopyt o zmarzniętą ziemię już po chwili odnalazły swój zgubiony rytm. Za oknem mignęła nam idąca poboczem, przygarbiona sylwetka. Z siniejącego z każdą sekundą nieba zsunęły się pierwsze pojedyncze kłaczki białego puchu.

— Niedługo zapadnie zmrok… — rzuciłam cicho. Jonathan bez trudu odczytał moje myśli.

— Chcesz, żebyśmy zaoferowali mu podwiezienie do domu?

— Do domu? — szepnęłam, zdając sobie sprawę z tego, jak dziwnie w moich uszach zabrzmiały te dwa słowa. *Oprócz Wzgórza Mgieł w pobliżu nie ma właściwie żadnych domostw* — pomyślałam. — *Na wiele mil wokół ciągną się tylko wrzosowiska… Stoi tutaj kilka zrujnowanych chat, pozostałości po dawnych kopalniach miedzi, ale one raczej nie są zamieszkałe.*

— Proszę, każ Arturowi się zatrzymać — rzekłam cicho z lekkim uśmiechem. Chyba podświadomie pragnęłam jeszcze raz zobaczyć nieznajomego na wrzosowisku. Jak gdybym za wszelką cenę pragnęła przekonać się, że nie jest on błąkającym się po pustkowiu duchem — jednym z tych, o których istnieniu zapewniał stary i zdziwaczały ogrodnik mej zmarłej ciotki, pan Smith.

Kiedy turkotanie kół ustało, otoczyła nas niezwykła cisza uśpionego wrzosowiska. Rozbrzmiewał w niej

szelest opadających płatków śniegu. Po chwili usłyszeliśmy kroki zbliżające się po zmarzniętej ziemi.

Zmierzający przed siebie mężczyzna zrównał się z okienną szybą, która zaparowała od ciepła naszych oddechów. Przetarłam ją dłonią w aksamitnej rękawiczce i zastukałam. Wędrowiec odwrócił się gwałtownie. Popatrzył mi prosto w oczy.

Przeszył mnie chłód. Odniosłam wrażenie, że skądś znam tę twarz, a jednocześnie przecież nie mogłam jej wcześniej widzieć. Ten człowiek niewątpliwie nie zaliczał się do sfery, w której obracałam się przez całe moje życie. Starość przyszła na niego przedwcześnie zapewne w wyniku fizycznej pracy i częstego przebywania na świeżym powietrzu — tutejsze słone wiatry i kapryśne słońce odcisnęły piętno na jego zgrubiałej, poznaczonej zmarszczkami skórze. Nie był starcem, ale młodość miał już za sobą. Musiał być co najmniej w wieku mojego ojca — jednak lata obeszły się z nim i z moim rodzicielem zupełnie inaczej. Mężczyzna za szybą powozu oblicze miał zmęczone, wzrok zagubiony, jak gdyby błędny. Kożuch przykrywał jego zgarbione ramiona, których szerokość zdradzała jednak drzemiące w nim niegdyś krzepkość i siłę. Rysy twarzy miał zdecydowane, z silnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi i niemal kwadratową, przyciężką szczęką, niskim czołem oraz z parą głęboko osadzonych, rozbieganych oczu.

Jonathan wyszedł na zewnątrz. Z zaskoczeniem obserwowałam interakcję dwóch mężczyzn niczym pantomimę za szybą, która na zimnie znów zachodziła parą mojego oddechu. Jonathan skinął do mnie— drzwiczki powozu się otworzyły.

— Ten człowiek jest niemową, Madeline — oznajmił Jonathan ściszonym głosem. — Artur powiedział, że zna go z widzenia. Udało się nam z nim porozumieć. Po prostu pokaże nam, kiedy będzie chciał wysiąść.

Mój narzeczony usiadł obok mnie, robiąc naprzeciw nas miejsce dla nieznajomego.

Obcy uchylił znoszonego, filcowego kapelusza.

Wówczas zdałam sobie sprawę z tego, że nawet nie wiemy, jak nasz nowy pasażer się nazywa.

Czuć było od niego wilgocią, wonią ziemi i mgłą, a także kwaskowym odorem potu. Kiedy usiadł, wnętrze powozu jak gdyby skurczyło się od jego potężnej sylwetki.

Potem rzucił mi prędkie spojrzenie — silne, zagadkowe wzruszenie odmalowało się na jego twarzy.

Ten człowiek mnie zna! — przemknęło mi przez myśl. Jednakże niedorzeczność tego przypuszczenia znowu wzięła górę nad intuicją. Ze smutkiem doszłam do wniosku, że jako spadkobierczyni lady Hortense Lancey, która przeżyła w tych stronach całe swe długie życie, po prostu muszę być w okolicy postacią znaną.

Konie ruszyły. Zauważyłam, że nasza trójka nie patrzy sobie w oczy. Zarówno obcy mężczyzna, jak i my czuliśmy się dość niezręcznie.

Za oknem z białego nieba coraz gęściej spadały płatki śniegu. Jonathan objął mnie ramieniem — z rozkoszą chłonęłam ciepło jego ciała. Tym razem jednak poczucie bezpieczeństwa, jakie zawsze wokół siebie roztaczał, nie wystarczyło, by rozproszyć niejasne wrażenie osaczenia, któremu z wolna ulegałam. W ciemnym powozie zrobiło się zaskakująco ciasno — brak wolnej przestrzeni i zapach obcego człowieka przytłaczały z niewytłumaczalną siłą, spotęgowaną przez wrażenie bezkresu nacierające z wrzosowisk za oknem. Marzyłam o tym, żeby wreszcie znaleźć się z Jonathanem w ciepłym domu.

* *

Kiedy minęliśmy w końcu znajomą bramę z kunsztownie kutego żelaza, Jonathan z zainteresowaniem wyjrzał za okno.

— Madeline, to jest naprawdę piękny dom! — orzekł, z uwagą przypatrując się otoczeniu.

W wyrazie jego kochanej twarzy, prócz zachwytu, dojrzałam jakieś nieuchwytne, nieme pytanie. To miał być jego pierwszy pobyt we Wzgórzu Mgieł. Czy zastanawiał się, co młoda dama z Londynu, taka jak ja, może widzieć zajmującego w życiu na tym

nieprzyjaznym odludziu? Oświadczył mi się, nie przyjechawszy tutaj ani razu. Czy teraz zastanawiał się nad tym, czy nasze gusta są zgodne, czy mamy podobne upodobania?…

— Musisz zobaczyć dom latem — rzekłam z ożywieniem. — Kiedy ogród jest w pełnej krasie, a wrzosowiska zaczynają kwitnąć. Takim właśnie widzę ten dom, kiedy zamknę oczy — skąpany w letnim słońcu, które ozłaca mgłę. Jak wiesz, kiedy byłam małą dziewczynką, spędzałam tutaj każde lato…

— Dla mnie zawsze będziesz tamtą małą dziewczynką. — Jonathan uśmiechnął się z czułością. — Oczywiście jeżeli tylko zechcesz.

Nie potrafiłam się nie uśmiechać, kiedy tak na mnie patrzył.

Po chwili powóz zatrzymał się przed schodkami prowadzącymi na wysoki kamienny ganek. Jonathan podał mi dłoń — poczułam, że pomimo rękawiczek palce mam skostniałe od chłodu.

— *Après vous, mademoiselle*… — Lekko się skłonił.

Zebrałam szeleszczącą suknię z turniurą i zeszłam na biały żwir przykryty najcieńszą pajęczyną śniegu.

Ciężkie drzwi wejściowe otworzyły się i stanęła w nich Rosalind. Starsza wiekiem panna służąca nie kryła swojego wzruszenia.

— Tak się cieszę, że moja panienka wróciła! — wyszeptała, kiedy padłyśmy sobie w ramiona.

— Przywiozłam kogoś ze sobą, Rosalind — odpowiedziałam również szeptem. Wyswobodziłam się z objęć staruszki, żeby przedstawić jej Jonathana.

— Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać, Rosalind — zapewnił ją Jonathan. Mimo chłodu twarz mu promieniała, błękitne oczy o melancholijnym zazwyczaj wejrzeniu lśniły niczym skrzące się po sztormie morze. Wewnętrzne ciepło rozgrzewało moją pierś, kiedy na niego patrzyłam.

To właśnie musiało być szczęście…

— Ależ wejdźcie państwo do środka! Robi się coraz zimniej… Wszyscy już czekają w salonie — zawołała Rosalind, jak gdyby i ona dopiero co popadła w błogie zamyślenie, z którego właśnie się ocknęła. Rzeczywiście, chłód był silniej odczuwalny z każdą chwilą, a za naszymi plecami kłaczki śniegu spadały z popielatego nieba coraz gęściej.

2. Zbieg

Śnieg przypominał roje drobnych, migotliwych owadów, które światło przyciągało do okien. W palenisku kominka wesoło trzaskał ogień, tchnący ku nam miłym ciepłem. Czasem płomienie natrafiały na grudkę zakrzepłej żywicy, a wówczas w górę, niczym maleńki fajerwerk, wystrzeliwał pęk złocistych iskier. W wieczornym półmroku ów spektakl zwykle działał na mnie hipnotyzująco — dziś jednak moje spojrzenie raz po raz odrywało się od pulsującego ognia, żeby spoglądać na Jonathana. Siedzieliśmy naprzeciw siebie w ustawionych przy kominku fotelach, racząc się aromatyczną herbatą.

— Twoja ciotka była piękną kobietą — zauważył Jonathan, spoglądając na portret ciotki Hortense, który wisiał nad kominkiem. Jasna suknia z bufkami

i popielate blond włosy upodobniały ją do opiekuńczego anioła. — I musiała bardzo cię kochać… W końcu zostawiła ci wszystko.

— Była dla mnie jak matka, której nie było mi dane dobrze poznać — odparłam cicho. — A przynajmniej mi ją zastępowała. Każdego roku czekałam na te kilka letnich miesięcy, które będę mogła spędzić tutaj z nią i z wujem Rogerem.

— Wspominałaś, że byli bardzo udanym małżeństwem.

— Jak rzadko które. Bardzo się kochali. Wuj Roger zamówił ten portret tuż po ich ślubie. — Nieoczekiwanie się zarumieniłam, ale Jonathan chyba tego nie zauważył.

— Twoja ciotka wygląda na nim na bardzo szczęśliwą — stwierdził poważnie. — Chcę, byś ty mogła czuć się tak samo.

— Będę szczęśliwa… Będę najszczęśliwszą dziewczyną na świecie, kiedy mój ojciec się zgodzi…

…*na nasz ślub* — dodałam w myślach, jak gdyby świętokradztwem z mojej strony było wypowiedzenie magicznego słowa na głos.

Jonathan posłał mi głębokie, intensywne spojrzenie, od którego poczułam ogarniającą mnie od wewnątrz falę gorąca.

— Mam nadzieję — powtórzył niskim głosem. — Inaczej chyba musiałbym go zabić.

Moje serce uderzyło o takt szybciej. Spojrzałam mu prosto w oczy.

— Zabić? — powtórzyłam przestraszona.

— Albo cię porwać — lekko przechylił głowę i pogładził kciukiem mój policzek. Zrobiłbym dla ciebie wszystko, Madeline. Nie pozwoliłbym, żeby coś stanęło między nami.

— Mój ojciec nie przeciwstawi się naszym zaręczynom. Nie mam co do tego wątpliwości — zapewniłam.

To była prawda — ale i tak odczuwałam lekki skurcz żołądka na myśl o spotkaniu z moją najbliższą rodziną. Mój ojciec i ja nie byliśmy ze sobą tak zżyci, jak można by było tego oczekiwać po wdowcu, który sam wychował jedyną córkę. To prawda, że dbał o moje wychowanie i edukację, lecz zawsze czynił to rękami opłacanych opiekunek i prywatnych nauczycieli. Sprawa moich zerwanych zaręczyn z Edmundem przed dwoma laty, a później śmierć ciotki Hortense oddaliły nas od siebie jeszcze bardziej. Mimo więzów krwi częstokroć miałam wrażenie, że żyjemy na dwóch przeciwległych biegunach. Istniał między nami niewidzialny mur, który sięgał daleko w przeszłość… Musiałam przyznać przed samą sobą, że nie uczyniłam zbyt wiele, żeby to zmienić. Po śmierci Hortense na długo zamknęłam się w sobie — żywiłam ogromny żal do ojca, że nie przyjechał do Torquay nawet na jej pogrzeb. W tamtym czasie sądziłam, że on i jego nowa żona chcieli po prostu za

wszelką cenę uniknąć skandalu — zrobiliby wszystko, żeby tylko nie wiązano ich z okolicznościami śmierci ciotki Hortense.

Obecnie patrzyłam na wydarzenia sprzed dwóch lat nieco inaczej. Uświadomiłam sobie bardzo wyraźnie, że mój ojciec, odkąd pamiętałam, z jakiegoś powodu nie cierpiał Wzgórza Mgieł. Co roku przywoził mnie do domu na wrzosowiskach na początku lata i zostawiał tu na kilka ciepłych miesięcy, lecz sam nigdy nie bawił w posiadłości ciotki Hortense i wuja Rogera zbyt długo — na pewno nie dłużej niż jeden lub dwa dni. Kiedy byłam dzieckiem, bardzo mnie to bolało. Zdawało mi się, że ojciec wyjeżdża z Torquay z pośpiechem i widoczną ulgą wynikającą z tego, że wreszcie się mnie pozbył — i że marzy jedynie o tym, by ode mnie odpocząć. Dopiero teraz, kiedy stałam się dorosła kobietą, przyszło mi na myśl, że to mogła być raczej sprawka tego domu…

To on mógł budzić w nim jakieś złowrogie uczucia, których nie potrafiłam wytłumaczyć.

— O czym myślisz? — spytał miękko Jonathan, przypatrując mi się uważnie. Zdawało mi się, że w odblasku kominka dostrzegam swoje odbicie w jego oczach.

— Myślałam o moim ojcu. W przeszłości nieraz miałam do niego żal. — Zawahałam się. — Tak naprawdę chyba żywię go nadal.

Jonathan patrzył mi prosto w oczy.

— Za co najbardziej? — To było nader bezpośrednie pytanie. Przełknęłam ślinę. Musiałam zebrać myśli — pragnęłam odpowiedzieć na nie szczerze. Nie jest łatwo spoglądać w głąb własnego serca, by udzielić podobnej odpowiedzi.

— Chyba za to, jak zniszczył moją przyjaźń z Arturem.

— Artur Smith to syn ogrodnika, prawda? — upewnił się Jonathan. Uwielbiałam w nim to, że zawsze słuchał innych z uwagą.

— Tak. — Skinęłam głową. — W dzieciństwie byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Właściwie to traktowałam go jak brata. Pewnego razu spotkała nas bardzo niebezpieczna przygoda. Gwałtowny przypływ uwięził Artura i mnie w nadmorskiej jaskini, do której zapuściliśmy się w czasie zabawy. Wszczęto alarm. Nazajutrz uratowali nas patrolujący brzeg rybacy. Tak czy inaczej, po tym wydarzeniu ojciec zabrał mnie stąd do Londynu w wielkim gniewie. Zabronił Arturowi i mnie się spotykać, nie pozwolił mi się z nim nawet pożegnać. Pamiętam, jak zapłakana siedziałam obok ojca w powozie; Artur biegł za nami przez dłuższy odcinek drogi. Krzyczał moje imię, ale ojciec tylko kazał stangretowi zaciąć konie. — Poczułam niespodziewanie, że kiedy o tym opowiadam, głos mi drży.

— Madeline… — Jonathan wstał, przykucnął przy mnie i zamknął moje dłonie w swoich. — Twój żal jest

zrozumiały. Byłaś tylko dzieckiem. Rozstanie z najlepszym przyjacielem musiało złamać ci serce.

W oczach zakręciły mi się zimne łzy. Jedna z nich spłynęła po mym policzku. Jonathan nachylił się i scałował ją najdelikatniejszym pocałunkiem — jego usta musnęły mnie niczym skrzydła motyla, sprawiając, że bezwiednie wstrzymałam oddech.

— Rozumiem ciebie, ale rozumiem też decyzję pana Hyde'a — rzekł wolno, a ja spojrzałam mu w oczy. — Mógł cię stracić. Utracić swoją jedyną córkę… Czy to nie zbyt wiele dla mężczyzny, którego żona umarła tuż po twoim urodzeniu? Wyobrażam sobie, co musiał czuć, kiedy dowiedział się o wypadku w jaskini… Strach i wściekłość. Zapewne winił twojego wuja i ciotkę za to, że cię nie dopilnowali. W końcu powierzył cię ich opiece… — Jonathan zawiesił głos.

Czułam, jak coraz prędzej uderza mi serce.

— Czy myślisz, że przez te wszystkie lata winił ciotkę Hortense za tamten wypadek? — wyszeptałam. — Czy mimo upływu czasu miał do niej tak wielki żal, że nie przyjechał nawet na jej pogrzeb? Przecież wiedział, jak bardzo ją kochałam… — Wtuliłam się w jego ramiona, pragnąc ukryć załzawione oczy.

— Nie wiem, Madeline.

Jonathan bezgłośnie westchnął.

— Czy wiesz, że pamiętam tamto lato? — rzekł cicho ze smutnym uśmiechem. — Często przychodziłaś

wtedy do nas, żeby spędzać czas z Claire. Byłaś ciągle smutna i zgaszona. To wtedy po raz pierwszy zwróciłem na ciebie uwagę. Pomyślałem: co to za urocza dziewczynka przesiaduje godzinami z moją siostrą i prawie wcale się do mnie nie odzywa?

Niespodziewanie zza okien dobiegło turkotanie powozu i szczekanie psów. Oderwaliśmy się od siebie. Wysunęłam się z objęć Jonathana i podeszłam do okna. Wrzosowiska pokrywał wieczorny cień — płatki śniegu zlatywały się jak białe ćmy. Poprzez ich wirujące roje dostrzegłam zapalone latarnie dorożki, która zatrzymała się na podjeździe przed domem.

— Czy to oni? — spytał Jonathan, pospiesznie wygładziwszy marynarkę.

— Niemożliwe. — Pokręciłam głową. — Ojciec napisał w liście, że powinnam się ich spodziewać najwcześniej w czwartek… — Urwałam, kiedy rozległo się ciche pukanie i weszła Rosalind. Twarz miała zmieszaną, malował się na niej niepokój.

— Panienko Madeline… Przybyli panowie z policji.

— Z policji? — powtórzyłam. Byłam pewna, że musiałam się przesłyszeć.

— To inspektor Langley i sierżant Thornton z Torquay. Zna ich panienka…

Moje serce załomotało.

— Oczywiście. Nie rozumiem tylko, o co może chodzić. — Zmarszczyłam brwi.

— Mam ich zaprosić?

— Tak, niech wejdą.

Jonathan posłał mi pytające spojrzenie, ale nie było czasu, żeby cokolwiek wyjaśniać. Do salonu weszło dwóch mężczyzn, którzy w holu zdjęli filcowe kapelusze.

Nie zmienili się za bardzo przez te dwa lata, które upłynęły od zabójstwa ciotki Hortense. Inspektor Steven Langley — mężczyzna o surowej twarzy i wodnistych, chłodnych oczach — już wówczas połyskiwał pokaźną łysiną. Obecnie praktycznie nie miał włosów, jego odsłonięta czaszka lśniła w świetle naftowych lamp i kandelabrów niczym wielkie jajo. Sierżant Thornton nie doczekał się awansu. Jak gdyby dla kontrastu z inspektorem jego ruda czupryna sterczała nad czołem niczym wiecheć siana. Twarz nadal miał sympatyczną, choć już mniej chłopięcą. Zauważyłam, że zdążył też przytyć.

Jonathan przedstawił się i wyciągnął dłoń do inspektora.

— Miło panią widzieć, panno Hyde — odezwał się ten ostatni, kiedy wzajemna prezentacja dobiegła końca. — Nie zajmiemy państwu dużo czasu. Doprawdy przykro mi, że państwa niepokoję, ale jesteśmy zobowiązani państwa ostrzec.

— Przed czym? — zapytałam cicho, wpatrując się z zaskoczeniem w inspektora.

Langley zacisnął wąskie usta, częściowo ukryte pod wąsami.

— Wzgórze Mgieł to osamotnione domostwo, a pani jest młodą, niezamężną damą… — Znowu odchrząknął, spoglądając w pośpiechu na Jonathana. — To znaczy… W obecnych okolicznościach bardzo uspokaja mnie wiadomość, że towarzyszy pani…

— Do czego pan zmierza, inspektorze? — Lekko uniosłam brwi.

Nie chciałam, żeby wypytywał o nasze prywatne sprawy. Dobrze wiedziałam, że w takim miasteczku jak Torquay wszelkie plotki roznoszą się nazbyt szybko.

— Na tutejszych wrzosowiskach ukrywa się zbiegły morderca. — Inspektor Langley skrzyżował ramiona. — Uznałem, że powinniście państwo to wiedzieć, żeby zachować czujność…